

ADAM WIARYGA MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

15

Obiad przeszedł w milczeniu. Anielka zasmucona i zadyszana nie odzywała się ani słowa. Pani Krystyna także nie mówiła, a myśl jej przebiegała bezustannie od kłopotu z rządcą, do czekającego na nią w szpitalu chorego chorążego Walczaka.

Bo pani Krystyna, zaniedbując wszystkie inne obowiązki swoje „szpitalnej cioci“, odwiedzała codziennie Walczaka, przynosiła mu kwiaty, owoce, papierosy, czytała mu książki i gazety, rozmawiała z nim godzinami.

Sprytny Jurek Legionista, „wymyszkował“ już, do kogo dąży codziennie pani Wolska i dlaczego przestała odwiedzać innych prawie zupełnie.

— Oho „nasza ciocia“ — dowcipkował — zapomniała już o swych siostrzeńcach... Znalazła sobie ładnego oficera i na innych ani nie spojrzy...

Panna Rasińska zgromiła chłopca surowo za tę uwagę, ale w głębi ducha myślała to samo.

A te odwiedziny były dla pani Krystyny coraz milsze, coraz więcej upragnione, stały się w końcu jakby niezbędną potrzebą jej codziennego życia.

Kiedy pewnego dnia przyjść nie mogła, to zdawało się jej, że dzień zmarnowała, zmarnowała i nie mogła sobie poprostu znaleźć miejsca.

W swoich sferach towarzyskich niewiele spotykała pani Krystyna mężczyzn tego pokroju, co Walczak. To też zachwycała ją wielka inteligencja młodego człowieka, trafne jego spostrzeżenia, zdradzające głęboki i bystry umysł.

Czasem jednak nie słyszała nawet tego, co mówił, zasłuchana w melodyę dźwięcznego głosu Walczaka, zapatrzona w grę jego wyrazistych rysów.

Ranny czuł się coraz lepiej, rany jego goiły się nadszpodziewanie szybko, odzyskiwał więc humor i chęć do rozmowy.

Opowiadał pani Wolskiej rozmaite przeżycia swoje z wojny, odgrzebywał wspomnienia lat dziecińczych i wczesnej młodości.

Pewnego razu, mówiąc o swem zamilowaniu do studyów technicznych, powiedział, że ojciec jego był ślusarzem.

I dziwna rzecz! Pani Krystyna nie oburzyła się ani przestraszyla! Ona, która z takim uporem i oburzeniem odpychała możliwość małżeństwa Anielki z jakimś elektrotechnikiem, synem ślusarza, teraz zapominała o swoich uprzedzeniach.

Przeciwnie, uważała, że przywiązanie, z jakim wykształcony młodzieniec mówi o swoim ojcu rzemieślniku, ma w sobie coś dziwnie rozzulającego.

Dziwiła się wprawdzie trochę w duchu, że człowiek z „niższej sfery“ może być tak inteligentnym, dystygowanym, dobrze wychowanym — może mieć tak delikatne, szlachetne rysy i tak kształtne ręce, znajdowała jednak, że w tem właśnie tkwi pierwiastek interesujący.

W podświadomości jej błąkała się myśl, że wszystko składa się, jakby w jakiejś angielskiej powieści...

Względem siostrzenicy odczuwała pani Wolska teraz wyrzuty sumienia. Przechodziło jej nieraz przez myśl, że uporem swoim i przesadami towarzyskimi zatruła Anielce jej wiośnianą miłość, która skończyła się tak nagle i tragicznie.

— Trudno, stało się — tłumaczyła sobie — narzeczony Anielki nie żyje, nie da się więc to naprawić... No jest Montwill, może go pokocha...

Wikcia podała leguminę. Dopiero wówczas zdecydowała się pani Krystyna przerwać panujące przy stole milczenie, które zaczynało być męczącym.

— Myślę i myślę nad tem — rzekła — gdzie i do kogo zwrócić się o tego rządcę...

Anielka wzruszyła ramionami bez słowa odpowiedzi.

— Cóż to znowu za ruszanie ramionami, moja Anielko?! Gdzie się tego nauczyłaś?!

— Nie mogę cioci nic poradzić... Gdybyśmy pojechały do Zalesinek, to tam napewno możnaby wyszukać jakiego zdolnego i uczciwego człowieka... Ale tutaj w Pradze bardzo wątpię, czy będzie można znaleźć jakiego rządcę...

— Już się ty o to nie kłopotz — odpowiedziała ciotka — poszukam i znajdę sama...

Zegar w tej chwili wydzwonił w pół do trzeciej.

Pani Krystyna z brękiem rzuciła łyżeczkę na telerzyk z niedokończoną porcją leguminy.

— Tak późno! Już wpół do trzeciej! — zawołała — a pan Kazimierz czeka.

Anielka drgnęła.

— Kto? kto?! Jaki pan Kazimierz?!

— To ranny oficer, którego odwiedzam w szpitalu — odpowiedziała ciotka, pospiesznie wstając od stołu.

— Ach, tak!...

Prawda, ileż to na świecie Kazimierzów, którzy dźwiękiem imienia przypominają będą tego, którego już nie ma...

Pani Krystyna chciała ubrać się spiesźnie, nie mogła jednak prędko zdecydować się na wybór kapelusza i sukni. Wahała się, czy ubrać się jasno, stosownie do pięknego, słonecznego dnia letniego, czy też włożyć czarną suknię i wielki czarny kapelusz, w którym jej było tak do twarzy... Może jednak w czerni wygląda trochę za poważnie, za staro...

Nie jest przecież jeszcze babką, by miała robić ze siebie matronę...

Z drugiej strony te jasne pastelowe barwy czy nie będą zwracały uwagi, czy nie posądzi jej ktoś o chęć umyślnego odmładzania się, tak jakby ona już była doprawdy starą...

Czy tak lepiej, czy tak...

Pani Krystyna wpatrzyła się w wielką, lśniąca taflę zwierciadła, pytając lustra o radę...

Kiedy tylko obie panie wyszły z domu, Wikcia natychmiast zarzuciła szal na ramiona, wybiegła na ulicę i wskoczyła w tramwaj, idący w stronę Smichowa.

Tam na Smichowie, w wąskiej, ciemnej, poprzecznej uliczce, odnajmowali Potyrowski i Ignac dwa łóżka od jakiejś praczki, wielkiej, tęgiej, swarliwej i wiecznie cuchnącej mydlinami baby.

Nie imponował jej wcale ani cylinder Potyrowskiego, ani jego podniszczona elegancja, ani nawet francuskie frazesy, które wtrącał do rozmowy, aby ją olśnić. Domagała się bezwzględnie, aby jej lokatorowie regularnie płacili za „byt“ i pod tym względem nie dała się nakłonić do żadnych ustępstw.

Gdyby nie Wikcia, byłiby się już obaj towarzysze niedoli nieraz znaleźli na bruku. Dziewczyna dawała teraz pieniądze nie tylko Ignacowi, ale i Potyrowskiemu, a oni brali je od niej z minami wielkich panów, jakgdyby nie ona im, ale oni jej łaskę wyświadczali.

Potyrowski i tym razem jeszcze zapanował nad sytuacją — umiał zręcznie wykorzystać dla siebie namietność wikci dla Ignaca.

Oczywiście Wikcia, aby zaspokoić ich wymagania, musiała odpowiednio „zarabiać“ przy sprawunkach, ale niepraktyczna pani Krystyna, zajęta zresztą czem innym, mało wglądała w sprawy gospodarskie i nie poznała się na tem.

Wikcia, zasłyszawszy rozmowę pań o rządcy, domyśliła się, że ta nowina zajmie Potyrowskiego i pospieszyła z tą wiadomością na Smichów.

Nie omyliła się. Potyrowski wysłuchał jej opowiadania uważnie, oczy zaiskrzyły mu się złym ogniem a na znak wzruszenia grzmotnął tak mocno pięścią w stół, że aż gospodyni praczka zaprotestowała:

— Prosim was pane, to neni waś stol.

Potyrowski nie chciał jednak mówić przy Wikci, podziękował jej więc protekcyjnie za wiadomość, zapytał dziewczynę, czy nie ma „drobnych“, a potem odesłał ją czempredzej z powrotem do domu.

Kiedy Wikcia zniknęła za drzwiami, Potyrowski zwrócił się do Ignaca:

— Ignac! uważasz, jest interes!

— Gdzie? Jaki interes?!

— Złoty interes, mówię ci!

— E! złoty tam, żeby to chociaż nikłowy był, bo żeby nie ta Wikta, toby i niklu brakowało!

— No już, jak ja ci mówię, że złoty!

— Nie wierzę ja w twoje interesy! Takiś wielki hrabia, elegant, po francusku parlujesz, a z tą bogatą wdową co? Kłapa, figa, koniec!

— No, nie udało się, ta siostrzenica przekłeta zepsuła wszystko... Mój drogi, ty tego nie rozumiesz, ale największemu człowiekowi może się coś nie udać, zwłaszcza kiedy mu kobieta w drogę wejdzie... I Napoleon upadł przez kobietę...

— E! nie zwracaj!...

— Ale to nic, ja się na tych babach zemszczę i obaj zarobimy przy tem grube pieniądze!...

— Iii... dużo im ta zrobisz, a w te grube pieniądze, to ja nie wierzę... Jakby tam można było coś zarobić naprawdę, tobyś się ty napewno nie chciał ze mną dzielić... Jakiś wtedy tego krakowskiego radcę „oskubał“, dużo z tego miałem?!

— Ignac, nienasycony człowieku, nie dałem ci to czterech koron?!

— No także pieniądze! Cztery korony! A tyś się najadł, napił i kabzę porządnie nabiłeś...

— Jak ty się zupełnie nie oryentujesz — ubolewał Potyrowski — to ty myślisz, że taki radca

krakowski, to on krocie ze sobą wozi... To dziady! powiadam ci... Dawniej anibyśmy się z takim nie wdawał... Zresztą on mi pożyczył pewną drobną kwotę na słowo honoru i to ja ją będę musiał zwrócić...

— Słuchaj, czy ty mnie za głupiego masz? Zdaje ci się, że z twoimi „frajerami“ mówisz, czy co?!

Chociaż i oni już się na tobie poznali... — Ignac, przeszkadzasz mi, mącis mi wątek myśli — nie mogę jasno rozumować... Mówię ci, zamknij gębę i słuchaj tego, co powiem... Słyszałeś, co Wikta opowiadała?

— Ano słyszałem.

— Ale nic z tego nie wiesz, naturalnie. Słuchaj powiem ci krótko — one są w kłopotcie, szukają rządcy, będzie im bardzo trudno znaleźć go w Pradze, więc ty zostaniesz tym rządcą!

— Ja?! — wykrzyknął zdumiony Ignac, przekonany, że Potyrowski chyba zwaryował.

— No tak, ty, bo ja nie mogę... Na nieszczęście znają mnie... Zostaniesz rządcą, każesz sobie porządnie zapłacić, pojedziesz do tego galicyjskiego majątku i będziesz gospodarował... Już ja ci wszystko powiem, co masz zrobić... Będziesz pisał, że wszystko zniszczone, że trzeba wkładać, pieniądze i jeszcze pieniędzy... Naturalnie musisz mnie oddać uczciwie moją część... Ja zresztą będę działał na swoją rękę... Jak ty wyciśniesz z baby pieniądze i sprykrzy się jej to gospodarowanie, wtedy ja podsunę kupca, który majątek kupi i nam dobrą prowizję zapłaci... Kupca już mam...

Ignac słuchał z otwartymi ustami. Pomysłowość i pewność siebie Potyrowskiego znowu mu zaimponowała.

— Ty jednak masz głowę — rzekł z uznaniem — tylko jak to wszystko zrobić... Jak ja się dostanę do tej pani, kto mnie poleci, kiedy ty tam nie możesz nosa pokazać po tem, jak się wydało z tą głupią Antoniową...

— Poradzimy sobie... Znam jednego młodzieńca, który tam bywa, a on robi wszystko, co zechce... On cię poleci...

Potyrowski myślał o Koncewiczu, z którym utrzymywał ciągle przyjazne stosunki i zaciągał od niego drobne pożyczki. Koncewicz zmienił się radykalnie w stosunku do Potyrowskiego, uważał „inżyniera“ za człowieka wielce dystygowanego i ofiarę nieszczęśliwych stosunków wojennych.

Potyrowski był zresztą nieocenionym przewodnikiem po nocnym życiu Pragi i kiedy tylko papa starosta nadesłał pieniędzy, było im obu dobrze z sobą.

Koncewicz pomimo, że doszedł sam już do wniosku, że ręki Anielki nie otrzyma, był jeszcze niekiedy u pani Wolskiej. Potyrowski zamyślał więc ograniczonego i niedomyślnego młodzieńca użyć za pośrednika.

Ignac długą chwilę rozmyślał nad świetną perspektywą dobrej posady i wielkich dochodów.

Wahając rzucił wreszcie:

— Tylko czy ja potrafię udawać tego rządcę?

— No wiesz, nie sądzę, byś był takim gamoniem, abys nie potrafił zagrać roli jakiegoś tam rządcy... Zresztą powtarzam ci, że cię nauczę, co masz mówić, co robić, jak się ruszać...

— A jak będą pytać o papiery, o świadectwa?

— No to powiesz, że się spaliły podczas ewakuacji... Zresztą co się tam ona na tem rozumie...

— A ten kupiec, o którym mówiłeś — to Goldfisz, prawda?

— To już nie twoja sprawa... Wszystko jedno, ten czy tamten, byleby dobrą dał prowizję...

— — — — —

Gmach dyrekcji policji na ulicy Bartolomejskiej był formalnie obleżony.

Ruchliwą czarną falą ciskał się tłum zatłuszczonej chałatów, a wśród nich widniały jasne bluzki kobiece — letnie marynarki mężczyzn, mundurki gimnazjalistów.

Obok mizernych, wynędzniałych, byle jak ubranych kobiet, stały eleganckie panie w nowiutkich kostiumach letnich, różowe panienki w powiewnych sukienkach — tłoczyli się, popychali razem mężczyźni przeróżnych sfer i zawodów, starsi i młodszy. Byli tam i robotnicy z grubymi, spracowanymi rękami i żółtki, zasuszeni w pracy biurowej urzędnicy i dobrze zakonserwowani, solidni, dobrze ubrani panowie i jacyś ludzie o twarzach inteligentnych, nerwowych, przesubtelnych — byli tam chłopcy w zuchowatych, granatowych maciejówkach i młodzi artyści w fantastycznych, szerokich kapeluszach i młodzieńcy z białymi miękkimi kołnierzymi wykładanymi a la Byron, czy a la Słowacki. Jednym słowem cała mozaika typów i postaci.

Byli to wszystko wychodzący z Galicji, którzy na wieść o odebraniu Rosyanom Lwowa cisnęli się do gmachu dyrekcji policji praskiej, aby uzyskać